

Borys kupuje konie

Przełożył Miłosz Wojtyna

Czasami trzeba opowiedzieć historię całego życia, aby podać w wątpliwość raptem jedno zdanie.

W naszej wsi, jak w tylu innych na całym świecie, był kiedyś sklep z pamiątkami. Znajdował się w przerobionej chacie, którą zbudowano przy drodze na górę jakieś cztery czy pięć pokoleń temu. W ofercie były buteleczki z narciarzem w środku, górskie kwiaty pod szklanym kloszem, talerze zdobione gencjaną, miniaturowe dzwoneczki, plastikowe kołowrotki, grawerowane łyżki, wyroby z irchy, kozuchy, nakręcane świstaki, kozie rogi, kasety, mapy kontynentu, noże z drewnianym trzonkiem, rękawiczki, koszulki, filmy, breloki, okulary przeciwsłoneczne, imitacje maselnic, moje książki.

Sprzedawała w nim właścicielka. Była wówczas nieco po czterdziestce – jasnowłosa, dorodna, uśmiechnięta kobieta o delikatnych, małych stopach. Patrzyła na wszystko błagalnie – błagając o nie wiadomo co. Z pewnego powodu – który nie należy do tej historii – młodzi mówili na nią „Gęś”. Naprawdę nazywała się Marie-Jeanne. Zanim Marie-Jeanne i jej mąż wprowadzili się do wsi, dom należał do Borysa. Odziedziczyli go właśnie po nim.

I tu dochodzę do zdania, które chcę podać w wątpliwość.

– Borys umarł – powiedział Marc, opierając się którejś niedzieli o rozgrzany poranym słońcem mur, który wije się przez naszą wieś niczym ostatnia litera alfabetu. – Borys umarł tak, jak jego owce – głodny i porzucony. W końcu spotkało go to, co zgotował zwierzętom – umarł tak samo jak one.

Borys był trzecim z czterech braci. Najstarszy zginął na wojnie, drugiego zabiła lawina, a najmłodszy wyemigrował. Już jako dziecko Borys wyróżniał się nadludzką wręcz siłą. Inne dzieci bały się go i wyśmiewały jednocześnie. Znały jego słaby punkt. Srogim wyzwaniem dla większości chłopców byłby siedemdziesięciokilowy worek ziemniaków. Borys mógł podnieść go bez trudu. Aby poddać Borysa próbie, należało założyć się z nim, że nie wystruga gwizdka z jesionowej gałęzi.

Każdego lata, gdy kukulki ucichły, wszyscy chłopcy we wsi mieli gwizdki z jesionu. Co lepsi nosili flety o ośmiu otworach. Kiedy miało się już prostą gałązkę o odpowiedniej średnicy, trzeba było zwilżyć ją śliną i lekko, lecz energicznie opukać drewnianym trzonkiem szczyryka. Opukiwanie oddzielało korę od drewna, które należało wyciągnąć niczym rękę z rękawa. Na koniec ze środkowego kawałka wycinano się ustnik i umieszczano z powrotem w korze. Trwało to ledwie kwadrans.

Borys pakował gałzki do ust, jakby miał pożreć drzewo życia. Co gorsza, zawsze opukiwał zbyt mocno, krusząc delikatną korę. Napinał się z nerwów. Próbował ponownie. Wycinał jeszcze jedną gałąź i opukiwał od nowa – lecz albo znów walił za mocno, albo skupiał się tak bardzo na delikatnym uderzeniu, że w ogóle nie umiał ruszyć ręką.

Borys, no dalej, zagraj nam coś! – naigrawały się dzieciaki.

Dorosły Borys miał ogromne ręce i niebieskie oczy osadzone w głębokich oczodolach, które bardziej pasowałyby krowie. Miało się wrażenie, że w chwili poczęcia każdej komórce ciała Borysa polecono rosnąć w nieskończoność, podczas gdy kręgosłup, kości udowe, piszczele i strzałki zrobiły sobie wagary. Przy średnim wzroście Borys miał cechy olbrzyma.

Kiedy obudziłem się któregoś poranka, a było to wiele lat temu, pastwiska na halach pokrywała biel. Na wysokości tysiąca sześciuset metrów nie sposób mówić o pierwszym śniegu – pada przecież przez cały rok – ale ta pokrywa miała się utrzymać do kolejnej wiosny. Sypało wielkimi płatami.

Okolo południa rozległo się pukanie. Poszedłem otworzyć. Przed domem stało trzydzieści owiec, ledwie widocznych na tle śniegu, który okrywał podwórko i grzbiety zwierząt. W progu stał Borys.

Wszedł do środka i od razu ruszył do pieca, żeby się ogrzać. Wysoki, opalany drewnem piec stał na środku pomieszczenia niczym kolumna ciepła. Pod warstwą śniegu szerokie barki Borysa wyglądały jak biały szczyt góry.

Nie ruszał się przez kwadrans, popijając gnóle i wyciągając ogromne dłonie do pieca. Mokra plama na podłodze rosła z każdą chwilą.

Wreszcie odezwał się chrapliwym głosem. Głos ten, niezależnie od tego, co wyrażał, zawsze miał w sobie nutę niedbałości. Był jakby wyrwany z zawiasów, ogołocony do szczytu – mimo to pobrzmiwał pogardą. Głos poszukiwacza, który wciąż spodziewa się żyty złota, chociaż na głowę wali mu się lawina nieszczęść.

– W nocy zobaczyłem, że pada – powiedział. – Wiedziałem, że owce są przy samym szczycie – im mniej jedzenia, tym idą wyżej. Podjechałem tu jeszcze przed świtem i wyruszyłem w górę. To było szaleństwo – iść samemu. Ale na kogo miałbym liczyć? Sypało tak, że nie widziałem drogi. Gdybym się poślizgnął, nic by mnie nie uratowało. Zatrzymałbym się pewnie dopiero na dole, na cmentarzu. Od samego świtu, przez pięć godzin igrałem ze śmiercią.

Głęboko osadzone oczy przypatrywały mi się uważnie, sprawdzając, czy rozumiem, co się do mnie mówi. Nie słowa, lecz to, co się za nimi kryło. Borys lubił być tajemniczy. Uważał, że to, co niedopowiedziane, liczy się na jego korzyść. A mimo to, wbrew sobie, pragnął zrozumienia.

Stał w kałuży roztopionego śniegu i wcale nie przypominał dobrego pasterza, który ryzykowałby życie dla swojej owczarni. Jan Chrzciciel, który koronował owce kwiatami, był zupełnym przeciwieństwem Borysa. Ten w ogóle nie dbał o zwierzęta. Strzygł późno,

więc cierpiały w upale. Kopyt nie podcinał prawie nigdy, więc owce kulały straszliwie. Wyglądały jak banda żebraków okutanych w szare wełniane tuchy. Ryzykując życiem, wspiął się na górę nie po to, by uratować dobre stado, lecz by ocalić, co się da z jego rynkowej wartości.

Rodzice klepali biedę, więc od dwudziestego roku życia Borys chełpił się fortuną, którą dopiero zamierzał zdobyć. A zamierzał wiele – już w chwili poczęcia dumę wpisano mu w każdą komórkę ciała.

Na targu kupował zwierzęta, których nie chciał nikt inny. Przychodził na koniec i płacił cenę, która dwanaście godzin wcześniej wydałaby się szyderstwem. Wciąż go widzę – na głowie czapka amerykańskiej armii, na plecach kurtka khaki. Mówi niewiele, tylko szturcha wielkim kciukiem ciało barczystego byka lub wołu.

Nie wierzył w uśmiech losu, lecz we własny spryt. Sprzedając, nigdy nie podawał ceny od razu. – Mów pan ile, dogadamy się – oznajmiał, szykując już pogardliwy uśmiech, którym mógłby skwitować każdą propozycję.

Przegląda mi się teraz, z tym samym wyrazem twarzy. – Mówiłem ci już, mam w głowie tyle poezji, że uzbierałyby się niejeden wiersz. Pamiętasz? – pyta. – Pisziesz historię mojego życia. Masz do tego prawo, bo dobiegło końca. A kiedy trwało? Co takiego zrobiłeś? Przyniosłeś mi pewnego razu paczkę papierosów. Pasłem wówczas owce na stoku za fabryką.

Nie odzywam się. Piszę dalej.

Pewien stary sprzedawca bydła powiedział mi kiedyś: – Takiego barana jak Borys nie je się z warzywami.

Plan Borysa był prosty – skupować chude, sprzedawać tłuste. Czasami zapomniał, że między jednym a drugim trzeba czasu i pracy. Oczekiwał, że chudziny przytyją w mgnieniu oka, lecz krowi grzbięt nie słuchał Borysa tak, jak jego własny. W chwili poczęcia krowy nie otrzymały bowiem tych samych instrukcji.

Wypasał owce, gdzie popadło – na gruncie wspólnym i cudzym. Zimą kupował siano, obiecując zapłacić jagniętami na wiosnę. Nie płacił nigdy. Ale szedł dalej. Stado rośło w siłę – w najlepszym momencie liczyło sto pięćdziesiąt sztuk. Jeździł land roverem, którego wyciągnął z jakiegoś wqwozu. Zatrudniał pasterza, którego wyciągnął ze szpitala dla alkoholików. Nikt nie miał do Borysa za grosz zaufania, ale nikt nie mógł mu się oprzeć.

Więć o jego sukcesach rozeszła się po okolicy. Tak samo historie o zaniedbaniach – niespłaconych długach i owcach idących w szkodę. Powszechnie uważano je za dopust boży, gorszy od stada dzików. Niczym szatańska świta stado Borysa pojawiało się na cudzej ziemi pod osłoną nocy.

Kiedy przychodził do kawiarni „Lira Republikanów”, położonej zaraz naprzeciw kościoła, sam również miał w sobie coś z diabła. Stał przy barze – nie siadał nigdy – w otoczeniu młodzieży z okolicznych wsi. Młodzi umieli przewidzieć lepiej niż ich ostrożni, choć przebiegli rodzice, co się powiedzie, a co nie. Śnili o zabawie i kobietach z zagranicy.

Jedźcie do Kanady

Borys radził im któregoś razu – to kraj przyszłości. U nas wystarczy się trochę dorobić, żeby każdy patrzył na ciebie spod byka. Kanada to wielki kraj – a jak masz coś wielkiego, to i gest się znajdzie!

Zapłacił za całą kolejkę, kładąc na barze banknot pięćdziesięciotysięczny. Żeby nie odleciał, przycisnął go nożem o drewnianym trzonku.

U nas – mówił dalej – nie ma przebaczenia! Nie za życia! A jak życie przeleci, od wybaczenia jest klecha. Widzieliście, żeby kiedyś ktoś zaśmiał się tu bez skrępowania?

W tym momencie drzwi kawiarni się otworzyły, jak gdyby on sam, ten szatan, dokładnie to zaplanował. Do środka weszło dwoje ludzi. Kobieta śmiała się na całe gardło. Nieznajomi. Mężczyzna miał na sobie odświętny garnitur i buty z czubami. Blondynka – tak jak on około trzydziestki – była w futrze. Jeden z młodych wyjrzał przez okno – przed kawiarnią stał samochód. Tablice z Lyonu. Borys spojrzał uważnie na nowo przybyłych. Mężczyzna powiedział coś, a kobieta zaśmiała się po raz kolejny. Jej śmiech miał w sobie coś z obietnicy. Co obiecywał? – spytacie. Coś dużego, nieznanego – może Kanadę.

– Znasz ich?

Borys pokręcił głową.

Zaraz potem włożył nóż do kieszeni, popchnął banknot, oznajmił, że płaci za dwie kawy, które pili goście z Lyonu, i wyszedł, nie obdarzwszy ich ani nikogo innego nawet przelotnym spojrzeniem.

Kiedy wstali, żeby zapłacić, właścicielka kawiarni oznajmiła: – Już uregulowane.

– Przez kogo?

– Mężczyznę, który wyszedł pięć minut temu.

– Tego w khaki? – spytała blondynka. Kobieta przytaknęła.

– Szukamy domu do wynajęcia, najlepiej umeblowanego – powiedział mężczyzna.

– Słyszała pani o czymś takim w okolicy?

– Na tydzień? Czy miesiąc?

– Nie, na stałe.

– Chcecie tu mieszkać? – zapytał z niedowierzaniem jeden z młodych.

– Mąż pracuje w A – odparła blondynka. – Jest instruktorem prawa jazdy.

Znaleźli dom. Któregoś wtorku, zaraz przed Wielkanocą, Borys z samego rana wjechał swoim land roverem na ich podwórze. Załomotał w drzwi. Blondynka była jeszcze w szlafroku.

– Mam dla was prezent – oznajmił.

– Mąż właśnie wyjechał do pracy.

– Wiem, widziałem. Chwileczkę!

Otworzył tył land rovera i przyniósł owcę.

– Prezent.

– Śpi?

– Nie żyje.

Blondynka odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. – Co niby mielibyśmy z nią zrobić? – spytała po chwili, dysząc. Otarła usta rękawem.

– Upiec ją!

– A wełna? Nie mamy pojęcia, jak to się robi. Na dodatek Gérard nie znosi widoku krwi.

– No to wam ją przygotowuję.

– To ty kupisz nam kawę, prawda?

Borys wzruszył ramionami. Trzymał jagnię za tylne nogi tak, że pysk wisiał przy ziemi.

– Wejść do środka – powiedziała blondynka.

Wszystkiemu przypatrywali się sąsiedzi.

Zadnie nogi były związane. Borys powiesił zwierzę na kuchennych drzwiach, jakby wieszak płaszczy. Na stole stał kubek kawy, którą kobieta piła w momencie, gdy rozległo się pukanie. Zapach kawy mieszał się tam z wonią mydła, pudru i jej samej. Pachniała jędrną, obfitą fizycznością kogoś, kto nie zna pracy fizycznej. Praca pachnie octem. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej bioder, gdy przechodziła między stołem a piecem. Znów się zaśmiała, tym razem ciszej. Później miał sobie przypomnieć ten poranek, gdy po raz pierwszy znalazł się w tamtej kuchni – jakby wspominał coś, co połknął, jakby język nigdy nie zapomniał smaku warg, które pochyliła ku niemu po raz pierwszy.

Zawsze przywoził ze sobą prezent, to był dopiero początek. Pewnego razu przyjechał ciągnikiem z przyczepą, na której spoczywał kredens. Nigdy nie przychodził po kryjomu. Przeciwnie, odwiedzał blondynkę w środku dnia, na oczach sąsiadów, którzy prędko zauważyli, że jakieś pół godziny po jego przybyciu kobieta zamyka okiennice sypialni.

– A jeśli mąż wróci szybciej z pracy? – zastanawiał się któryś z sąsiadów.

– Boże broń! Borys wyrzuciłby go przez okno!

– Ale przecież musi się domyślać.

– Kto?

– Mąż.

– Od razu widać, że nigdy nie mieszkałeś w dużym mieście.

– Dlaczego?

– Mąż o wszystkim wie. Gdybyś mieszkał w mieście, rozumiałbyś, że tak jest.

– To dlaczego nic nie robi? Nie jest chyba aż takim tchórzem!

– Któregoś dnia wróci do domu o umówionej porze, a Borys wciąż będzie na miejscu.

Wtedy mąż spyta: Czego się napijesz? Likierek?

– I doda trucizny?

– Nie, raczej pieprzu! Żeby jeszcze go podgrzać!

Borys ożenił się w wieku dwudziestu pięciu lat. Żona zostawiła go po miesiącu. Później wzięli rozwód. Ona, dziewczyna spoza doliny, nie robiła mu wyrzutów. Stwierdziła po prostu, cicho i skromnie, że nie może z nim żyć. I dodała: może inna potrafi.

Blondynka nazwała go Garbuskiem.

– Mam tak samo proste plecy jak ty.

– Nie twierdę, że jest inaczej.

– No więc dlaczego?

– Bo tak mi się podoba.

– Garbusku – spytała kiedyś – jeździsz na nartach?

– Niby kiedy miałbym się nauczyć?

– Kup narty, to cię nauczę.

– Jestem już na to za stary – odparł.

– Jesteś mistrzem w łózku, będziesz mistrzem na stoku.

Przyciągnął ją do siebie i ogromną dłonią zakrył jej usta i twarz.

I to również miał sobie przypomnieć, kiedy jakiś czas później rozmyślał o tym, jak różne życie zgotował im los.

Pewnego dnia przybył z pralką na plecach. Innym razem z aksamitną makatą wielkości dywanu, na której jasnymi kolorami wyszyto dwa konie na zboczu góry.

Borys miał wówczas dwa konie. Kupił je pod wpływem chwili – podobały mu się ogromnie i udało się utargować co nieco. Na wiosnę przyprowadził mu jeszcze jednego. Było wcześniej rano. Śnieg stopniał jakiś tydzień wcześniej. Spał jeszcze, obudził go. Nad łóżkiem wisiała Madonna i zdjęcie blondynki. Wzięliśmy snop siana i ruszyliśmy na pole. Wypuściłem szkapę. Po zimie w stajni galopowała między drzewami i brykała radośnie. Borys gapił się na nią z otwartymi ramionami. – Wolność! – odezwał się. Nie był to ani szept, ani okrzyk. Powiedział to, jakby koń miał mieć tak na imię.

Blondynka powiesiła makatę na ścianie w sypialni. Którejś niedzieli, oglądając w łózku telewizję, Gérard skinął głową w stronę obrazka, na którym końskie grzywy spletały się na wietrze niczym u najlepszego fryzjera, grzbiety koni lśniły jak eleganckie pantofle, a śnieg między sosnami był bielszy niż suknia panny młodej. Po chwili odezwał się:

– To naprawdę jedyny prezent od niego, którego mam już dość.

– Bardzo lubię konie – odparła.

– Konie! – zarżał głośno.

– To ty masz problem! Boisz się ich!

– Konie! Jedyne, co da się powiedzieć o obrazie – a to jest obraz, chociaż zrobiony z bawełny...

– Aksamitu!

– Jeden pies! Jedyne, co da się powiedzieć o tym obrazie, to że na obrazach konie na pewno nie srają!

– Tobie chyba w głowie się trochę posrało – odparła.

– Rozmawialiście o domu? – spytał.

– Porozmawiam z nim, jak mi się zachce.

– Ładnie to tak nazywać go Garbuskiem?

Wyłączyła telewizor.

– Gérard, nie będziesz mi mówił, jak mam go nazywać. To moja sprawa.

Jakże trudno jest opowiedzieć historię, nie przydając jej moralizującego wydźwięku! A przecież nasuwa się tyle wątpliwości, przecież życie układa się jak miękki materiał na morderczym ostrzu!

W południe któregoś czerwcowego dnia Borys zjawił się u niej cały zlane potem. Wyglądał, jakby twarz o orlim nosie i policzkach niczym głazy dopiero co zanurzył w poidle. Wszedł do kuchni, pocałował ją jak zwykle na powitanie, lecz nie odezwał się ani słowem. Podeszedł do zlewu i wsadził głowę pod kran. Odrzucił ręcznik, który mu podała. Woda ciekła mu po karku w dół okrytych koszulką pleców. Spytała, czy jest głodny. Skinął głową. Wodził za nią wzrokiem, gdziekolwiek się ruszyła – ani z czułością, jak pies, ani podejrzliwie. Patrzył jakby z daleka.

– Chory jesteś? – spytała nagle, stawiając talerz na stole.

– W życiu nie byłem chory.

– No to w czym rzecz?

Zamiast odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i oparł mokrą głowę o jej piersi. Trzymał tak mocno, że zabolota ją, nie w piersi, lecz w kręgosłupie. Mimo to nie próbowała się wyrwać, tylko położyła pulchną, jasną dłoń na tej twardej głowie. Jak długo stała przy jego krześle? Jak długo głowa przylegała do jej piersi jak pistolet przylega do kabury obszytej aksamitem? Kiedy umierał nocą, całkiem opuszczony, leżąc z trzema czarnymi psami na podłodze, zdawało mu się, że wpasował twarz w wypukłość jej piersi jeszcze w kawiarni, tego dnia, gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Nie miał ochoty jeść, chociaż posiłek czekał na talerzu.

– No, Garbusku, zdejmij buty i pójdziemy do łóżka.

Pokręcił głową.

– Co ci jest? Siedzisz tylko, nie odzywasz się, nie jesz, nic nie robisz. Do niczego się nie nadajesz!

Wstał i ruszył do drzwi. Zauważyła, że kuleje.

– Co ci się stało w stopę?

Nie odpowiedział.

– Do jasnej cholery, masz coś z nogą.

– Złamana.

– Jak to?

– Na stoku za domem przewróciłem traktor. Wyrzuciło mnie z kabiny i zderzak przegniotł nogę.

– Dzwoniłeś po lekarza?

– Przyszedłem tutaj.

– Gdzie jeep?

– Nie mogę prowadzić, nie dam rady ruszyć stopą.

Zaczynając od zdrowej nogi, zabrała się do rozwiązywania sznurowadeł. Nie odzywał się. Z drugim butem było gorzej. Borys zeszywniał, gdy tylko dotknęła. Skarpeta była mokra od krwi, a stopa zdążyła napuchnąć zbyt mocno, by dało się cokolwiek zrobić.

Przygryzła wargę i spróbowała otworzyć but trochę szerzej.

– I przyszedłeś tutaj! – wykrzyknęła.

Przytaknął.

Siedząc przy nim na podłodze, z rękami zwieszonymi po bokach, rozplakała się.

Miał jedenaście złamań. Lekarz nie chciał uwierzyć, że Borys przeszedł cztery kilometry ze swojego gospodarstwa do domu blondynki. Stwierdził, że to absolutnie niemożliwe. Blondynka przywiozła Borysa do kliniki i, jak stwierdził lekarz, była u Borysa przez cały poranek, ale nie chciała się do tego przyznać. Dlatego, zdaniem lekarza, wymyślili marną historijkę o tym, jakoby Borys miał, kulejąc, przejść cztery kilometry. Lekarz nie miał racji. To była jedyna wizyta – spośród tylu, które jej złożył – o której blondynka nie powiedziała Gérardowi. Kiedy później dowiedziała się o śmierci Borysa, od razu spytała, czy miał na sobie buty, gdy go znaleziono.

– Nie – padła odpowiedź – był boso.

Już za młodu Borys odziedziczył trzy domy – wszystkie, według miejskich standardów, były w opłakanym stanie. Sam mieszkał w domu z największą stodołą. Miał prąd, ale brakowało bieżącej wody. Dom stał poniżej poziomu drogi, więc przechodnie bez trudu mogli zajrzeć do komina. To tutaj, kiedy umarł, trzy czarne psy wyły rozpaczliwie przez całą noc.

Drugi dom, który zawsze nazywał domem matki, leżał w najkorzystniejszym miejscu. Borys od dawna planował sprzedać go paryżanom – gdy wreszcie się jacyś pojawili.

W trzecim domu – czyli chacie u stóp góry – co jakiś czas nocował pasterz Edmond. Edmond był szczupłym człowiekiem o oczach pustelnika. Doświadczenie podpowiadało mu, że prawie wszystkie stworzenia, które chodzą na dwóch nogach, należą do jednego gatunku zwanego Wielkim Nieporozumieniem. Borys nie dawał mu normalnej pensji, lecz zapewniał wikt i co jakiś czas podsuwał drobne prezenty.

Któregoś wiosennego wieczora Borys ruszył do chaty na stoku, biorąc ze sobą kawał sera i wędzonego boczku.

– Rzadko w domu, co? – przywitał go Edmond.

– Czemu pytasz?

– Mam oczy. Land rovera ciężko nie zauważyć.

– I co, wiesz, dokąd jeżdżę?

Edmond uznał to pytanie za niewarte odpowiedzi. Wbił w niego swoje puste spojrzenie.

– Chcę się z nią ożenić.

– Ale nie możesz.

– Chciałaby mnie.

– Na pewno?

Borys z całej siły uderzył prawą pięścią we wnętrze lewej dłoni. Edmond ani mruknął.

– Ile owiec? – spytał Borys.

– Trzydzieści trzy. Ona z miasta, prawda?

– Ojciec jest rzeźnikiem w Lyonie.

– Dlaczego nie ma dzieci?

– Nie każdy byk ma jaja, sam wiesz. Urodzi moje.

– Ile to już trwa?

– Półtora roku.

Edmond uniósł brwi. – Kobiety z miasta to nie to samo – powiedział. – Wiem dobrze. Sporo widziałem. Są inaczej zbudowane. U nich i gówno, i krew inne. I zapach też inny. Nie czuć ich stajni ani paszki dla kur. Pachną czymś innym. A to coś jest niebezpieczne. Mają idealne rzęsy, mięciutkie nogi bez żyłaków, butki na podszewkach cienkich jak naleśnik, dłonie delikatne i gładkie jak obrany kartofel, a zapach – wystarczy powąchać, żeby naszła cię jakaś dziwna tęsknota. Masz chęć wywąchać je do cna, wycisnąć jak cytrynę, do ostatniej kropli, do samej pestki. A wiesz co to za zapach? Powiedzieć ci? Zapach pieniędzy. Wszystko tak sobie obliczą. Miejskie kobiety zbudowano inaczej niż nasze matki.

– Moja matka nie ma nic do tego.

– Uważaj – dodał Edmond – Blondynka oskubie cię do gołego. A potem wyrzuci jak kurze flaki.

Precyzyjnym ciosem w szczękę Borys posłał pasterza na ziemię. Padł z rozpostartymi ramionami.

Zapadła cisza. Pies polizał czoło Edmonda.

Tylko bitewny weteran zna kompletną obojętność gwiazd nad ciałem powalonego pasterza. W konfrontacji z taką obojętnością szukamy miłości.

– Jutro kupię jej nowy szal – wyszeptał Borys i, nie oglądając się, ruszył z powrotem do wsi.

Następnego ranka u Borysa zjawiała się policja, żeby poinformować go, że stado jest dla ludzi poważnym zagrożeniem, bo tamuje ruch na głównej drodze. Edmond zniknął. Widziano go dopiero po śmierci Borysa.

Sierpień był dla Borysa miesiącem tryumfu. A może chwały? Czy to lepsze słowo? Był zbyt szczęśliwy, zbyt przejęty, żeby rozpatrywać sytuację w kategoriach zwycięstwa nad innymi. Nareszcie poczuł, że w chwili poczęcia wpisano weń coś więcej niż grube kości, potężne bicepsy i silną wolę. W wieku lat czterdziestu zasłużył na uznanie.

Siano zebrane, stodoła wypchana po brzegi, owce pasły się wysoko na halach – bez pasterza, lecz pod bożą opieką – więc wieczorami Borys zjawiał się na tarasie Liry Republikanów, z którego widać było jedyny plac we wsi. Blondynka w letniej sukni bez rękawów i srebrnych butach na wysokim obcasie towarzyszyła mu każdego wieczora. Aż do zmroku byli jak kolorowy spektakl dla innych mieszkańców wioski.

– Drinki dla wszystkich – zarządził Borys, odchylając się na krześle. – Jak będą pytać skąd, to mów, że Borys kupuje konie!

– Garbusku, nie co wieczór, nie stać cię!

– Właśnie że co wieczór! W jajach mi się gotuje!

Położył ogromną dłoń na jej łonie, okrytym suknią w czerwone grochy.

– Nie żartuję. Będę hodował konie – dla ciebie! Wierzchowce, które będziemy wynajmować idiotom przyjeżdżającym na weekend.

– Co niby miałabym robić z końmi, skoro nie umiem jeździć?

– Jak urodzisz mi dziecko.

– Tak, Garbusku.

– Nauczę je jeździć – dokończył. – Będzie miało twoją urodę i moją dumę.

Nigdy wcześniej nie użył tego słowa w odniesieniu do siebie.

– Jeśli mamy mieć dziecko, dom będzie za mały. Potrzebny będzie jeszcze jeden pokój.

– A ile mamy jeszcze czasu, żeby zająć się tym problemem? – Borys spytał z cwany uśmiechem handlarza.

– Nie wiem, Garbusku, pewnie z osiem miesięcy.

– Butelka szampana! – zawołał Borys – po kieliszku dla każdego!

– Dalej kupujesz konie? – kopiąc fajkę, spytał Marc, ubrany w niebieski kombinezon największy sceptyk Liry Republikanów, niestrudzony mędrzec i prześmiewca ludzkiej głupoty.

– Nie twoja sprawa – odparł Borys. – Jeszcze po jednym!

– Upiję się – powiedziała.

– Przyniosę coś na ząb.

W Lirze stoi maszyna, w której za franka można kupić garstkę orzeszków ziemnych. Borys pakował do środka monetę za monetą i po chwili poprosił o głęboki talerz.

Kiedy zgromadzeni przy barze mężczyźni podnieśli kieliszki z szampanem i skinęli w stronę Borysa, tak naprawdę wznosili toast za blondynkę. Każdy wyobrażał sobie, że jest na miejscu Borysa – jedni z zazdrości, inni z poczuciem dziwnej tęsknoty za czymś, co nie ma prawa się im przydarzyć.

Obok Marca stał Jean, dawniej kierowca ciężarówek kursujących na długich dystansach, obecnie – siedemdziesięcioletni hodowca paru królików i jednej żony. Właśnie opowiadał historię:

– Guy napruł się do nieprzytomności. Osunął się na ziemię i leżał jak nieżywy.

– Jean przerwał opowieść i zatoczył koło spojrzeniem, podkreślając wrażenie impasu.

– Co było robić? Patrick wpadł na pomysł! Dawajcie go do mnie, powiedział. Zanieśli Guya do samochodu i zawieźli do Patricka. Do środka, kładźcie go na warsztat, rozkazywał Patrick. Zdejmujcie mu portki!

Blondynka wsunęła Borysowi do buzi trochę orzeszków.

– Nie róbmy mu nic złego! Mówię, zdejmujcie portki! I skarpety też. Leżał więc Guy na warsztacie, goły jak go Pan Bóg stworzył, i jak my wszyscy gotowy na Wielkie Odpoczywanie. Ktoś zapytał: Co teraz? Złamał nogę – oświadczył Patrick. Nie bądź głupi. Będzie myślał, że złamał nogę – Patrick pośpieszył z wyjaśnieniem. Niby dlaczego?

Patrzcie. Patrick przygotował w wannie dużą porcję gipsu i z wielką wprawą opakował nogę Guya od kostki do połowy uda. – Jean znów przyjrzał się słuchaczom. – W drodze do domu Guy się obudził. Nie martw się, brachu, pocieszał go Patrick, złamałeś nogę, ale to nic poważnego, wracamy już ze szpitala, wszystko opakowane. Powiedzieli, że gips można zdjąć po tygodniu, to tylko małe złamanie. Guy spojrzał na nogę i tzy zaczęły ściekać mu po policzkach. Ale ćwok ze mnie! Ale ćwok! – powtarzał co chwilę.

– No i co było dalej? – dopytywał Marc.

– Miał tydzień urlopu. Siedział przed telewizorem z nogą wyciągniętą na krześle!

Blondynka wybuchnęła śmiechem. Wierzchem dłoni (bał się, że wewnętrzna strona jest zbyt szorstka) Borys badał ruch jej szyi. Śmiech rodził się na poziomie bioder i przesuwiał się w stronę ust. Borys śledził go, poruszając dłonią w górę i w dół.

Jean, kierowca zajmujący się królikami, patrzył z przejęciem – jakby ta scena była bardziej nieprawdopodobna niż historia, którą przed chwilą opowiedział.

– Nie wierzyłem własnym oczom – nieco później tego samego wieczoru opowiadał stałym bywalcom Liry Republikanów. – Borys, ten tępak, siedzi tam, głaszcze ją jak wieiórkę i karmi orzeszkami z głębokiego talerza. I wiecie, co robi, gdy do Liry wchodzi jej mąż? Wstaje, wyciąga do niego rękę i pyta: „Czego się napijesz? Białe wino? Do tego porzeczeki? Zabieram ją dziś na bal. Wrócimy rano”.

Bal odbywał się w pobliskiej wsi. Przez całą noc Borysowi wydawało się, że pług przesuwają się po skibie dobrego losu.

Na chwilę przestali tańczyć i poszli się napić. On piwa, ona lemoniady.

– Dam ci dom matki – oznajmił.

– Dlaczego tak go nazywasz?

– Moja matka dostała go od swojego ojca.

– A jeśli któregoś dnia zechcesz go sprzedać?

– Jak miałbym go sprzedać, skoro będzie twój?

– Gérard nigdy mi nie uwierzy.

– W kwestii dziecka?

– Nie, domu. Nie zgodzi się na przeprowadzkę, dopóki wszystko nie będzie pewne.

– Rzuć Gérarda! Zamieszkaj ze mną!

– Nie, Garbusku, nie jestem stworzona do mieszania paszy dla kur.

Znów, zamiast odpowiedzi, Borys przycisnął czoło do jej ciała. Głowa przylegała do piersi jak pistolet do kabury obszytej aksamitem. Jak długo trzymał twarz w tym ukryciu? Kiedy się oderwał, rzekł: – Zatałwię formalności, pójdę do notariusza. Będzie twój. Twój, nie jego. A potem będzie należał do naszego dziecka. Zatańczymy jeszcze?

– Oczywiście, najdroższy.

Tańczyli długo – sukienka w czerwone grochy zrobiła się brudna od potu ich ciał, muzyka ucichła, włosy blondynki zaczęły pachnieć krowami.

Jeszcze wiele lat później ludzie zadawali sobie pytanie: jak to możliwe, że Borys, który oszukałby własną babkę, nigdy przedtem nie dał nikomu ani franka i nigdy nie dotrzymywał

słowa, ofiarował blondynce dom? Odpowiedź, zawsze ta sama, chyliła czoła przed tajemnicą: „Namiętności nie zrozumiesz”.

Kobiety nie pytały. Dla nich było jasne, że w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie można poradzić sobie z każdym mężczyzną. Żadna tajemnica. Być może właśnie dlatego kobiety współczuły Borysowi trochę bardziej niż mężczyźni.

On sam nigdy nie zastanawiał się: „Dlaczego oddałem jej dom?”. Nie żałował, choć – i tu wszyscy życzliwi mają rację – nigdy wcześniej nie podjął podobnej decyzji. Nie żałował niczego. Żal zmusza nas do tęsknoty za przeszłością. Borys czekał aż do samego końca.

Kwiaty w górach miały jaśniejsze, bardziej intensywne barwy niż te same kwiaty z równiny. Prawidłowość ta dotyczyła również burz z piorunami. W górach błyskawica nie uderzała po prostu, lecz rozszczepiała się w okrężnym tańcu; grzmot rozchodził się zwielokrotnionym echem. Jeden rozbrzmiewał w towarzystwie drugiego, echa nakładały się, przedłużając nieprzerwany huk. Powodem były wszechobecne złoża metalu. Podczas burzy nawet najdzielniejszy pasterz zadawał sobie pytanie: „Na Boga, co ja tu właściwie robię?”. O poranku, gdy wstało słońce, jego oczom ukazywały się ślady po osobliwych zajęciach, z których podczas burzy na szczęście nie zdawał sobie sprawy: dziury w ziemi, spalona trawa, dymiące drzewa, martwe bydło. Któregoś lata na koniec sierpnia przydarzyła się burza tego rodzaju.

Część Borysowego stada pała się przy Skale św. Antoniego na wschodnim stoku po drugiej stronie góry. Podczas burzy przerażone owce zaczynają się wspinać, szukając ratunku w niebiosach. W ulewnym deszczu stado Borysa stłoczyło się na rumowisku w pobliżu skały. Sześćdziesiąt owiec zbitych w ciasną grupę. Mokre łby przy tłustych, mokrych zadach, jeden tułów przy drugim. Kiedy góry rozświetliła błyskawica, świat pojaśniał i urósł, miało się wrażenie, że jasność trwa bez końca, a owce tworzą gigantyczny kozuch. Dwa rękawy, każdy z pół tuzina ciał wszytych w korytarz zieleni ciągnący się między skałami. W świetle kolejnych błyskawic więcej niż setka oczu połyskujących jak węgiel brunatny wyzierała z kozucha w prerażeniu. Do obaw miały pełne prawo. Burza potężniała. Kolejny piorun uderzył w sam środek stada. Owce zginęły na miejscu. U większości z nich szczęki i zadnie, kościste nogi pękły od porażenia prądem, który przepłynął od łbów do ziemi.

Jednej nocy Borys stracił trzy miliony.

Trzydzieści sześć godzin później jako pierwszy zobaczyłem wrony zataczające kręgi na niebie. Coś umarło, lecz nie wiedziałem co. Ktoś dał znać Borysowi. Następnego ranka ruszył w stronę Skały. Cekał na niego ogromny owczy kozuch, opuszczony, zimny, okryty rojami much. Do drogi było za daleko. Jedyne, co mu pozostało, to spalić padlinę na miejscu.

Przyniósł benzynę i paliwo do diesla, po czym zaczął składać owce w stos, ciągnąc jedno ciało po drugim wzdłuż rękawów i układając warstwami. Na wierzch dorzucił starą oponę. Gęsty dym zaczął unosić się nad stosem. Razem z nim – smród palonego ciała. Jak niewiele potrzeba, żeby zamienić górski stok w piekielną krainę! Co chwilę Borys

pocieszał się myślą o blondynce. Razem będą się z tego śmiać. Zapomni o tej sromocie, gdy tylko przycisnie twarz do jej piersi. Bardziej od obietnic tego typu krzepiła go sama myśl, że blondynka istnieje.

Wszyscy we wsi dobrze wiedzieli, co stało się ze stadem. Nikt nie winił Borysa otwarcie – bo niby jak? Byli jednak tacy, którzy szeptali, że tylu zwierząt nie traci się bez przyczyny, że Borys musiał sobie na to zasłużyć. Zaniedbywał owce. Nie płacił długów. Używał sobie z mężatką. Opatrzność przyniosła mu ostrzeżenie.

– Podobno Borys pali stado na stosie – powiedziała. – Na górze widać dym.

– Chodźmy popatrzeć – odparł Gérard.

Próbowała wykręcić się bólem głowy.

– No chodź – nalegał. – Mamy przecież sobotnie popołudnie. Górskie powietrze dobrze ci zrobi. Poza tym nigdy nie widziałem, żeby ktoś na raz palił sześćdziesiąt owiec.

– Nie chcę iść.

– O co chodzi?

– Martwię się.

– Boisz się, że zmieni zdanie w sprawie domu? Teraz bieda go nieźle przycisnie.

– Stado baranów nie zmusi go do zmiany zdania.

– Nie mów hop...

– Tylko jedno mogłoby zmusić go do cofnięcia obietnicy.

– Jakbyś przestała się z nim spotykać?

– Nie.

– No więc?

– Nic.

– Wspominał ostatnio o domu?

– Wiesz, jak go nazywa? Mówi na niego: dom matki.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– No chodź – przekonywał Gérard.

Gérard ruszył z żoną na górę, aż do końca drogi. Zamknęli samochód i dalej poszli pieszo. Nagle zza rozpadliny tuż przy ścieżce wleciała kuropatwa. Blondynka krzyknęła.

– Myślałam, że to niemowlę!

– Za dużo wypijaś. Widziałaś kiedyś latające niemowlę?

– Tak mi się po prostu zdawało, naprawdę.

– Widzisz gdzieś dym? – spytał.

– Co tak syczy?

– Owce się pieką! – odparł.

– Nie żartuj.

– Świerszcze.

– Czujesz coś?

– Nie.

– Wyobrażasz sobie, że musisz tu być podczas burzy?

– Mam lepsze rzeczy do roboty.

– Łatwo ci mówić. Nie wiesz, co to harówka.

– Bo nie jestem głupi.

– Nie, nikt nie twierdzi, że jesteś. Za to on, jak najbardziej. Borys jest głupi, strasznie głupi!

Podsycił ogień paliwem. Niebieskie, bardziej ruchliwe płomienie owijały się wokół żółtych. Chwycił owcę za nogi, rozbijał i rzucił tak wysoko, że wylądowała na samym szczycie stosu. Po kilku minutach przestała przypominać jakiegokolwiek zwierzę. Na policzkach miał ślady też, które wycisnęła fala gorąca i gryzący dym, który wraz z wiatrem zmienił kierunek. Co kilka minut podnosił kolejny zewłok, kręcił nim, żeby nabrać rozpędu i rzucał na szczyt ogniska. Chłopiec, dla którego męczarnią było przygotowanie gwizdka z kory jesionu, w pojedynkę palił stado owiec na wielkim stosie.

Gérard i blondynka zatrzymali się jakieś pięćdziesiąt jardów od ognia. Temperatura, smród i coś niewiadomego kazały im się zatrzymać. Niewiadoma połączyła ich – w tej kwestii zgodzili się bez słów. Dłońmi zastaniali oczy. Ogień i wodospad mają jedną wspólną cechę. Wiatr odrywa mgiełkę kropelek od kaskady, płomienie tańczą na osi ognia, krople drżą skałę, dochodzi do erozji, ogień przetłumacza to, co w nim płonie, opadający strumień huczy, ogień skwierczy przeraźliwie. Lecz w samym centrum stosu lub wodospadu jest kompletnie cicho. I właśnie ta cisza ma w sobie coś z katastrofy.

– Spójrz tylko.

– Trzy miliony nie jego. Biedactwo – wymamrotała blondynka.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że nie był ubezpieczony?

– Wiem to – wyszczała. – Po prostu wiem i tyle.

Borys, plecami do ognia, pochylał się nad torbę, w której przyniósł wodę. Napił się, oblał twarz i ramiona. Czując świeżość płynu, pomyślał o wieczornej kąpieli – rozbierze się w kuchni i dokładnie umyje przed spotkaniem z blondynką.

Kiedy odwrócił się w stronę ognia, zobaczył ich. Kłąb dymu natychmiast zasłonił widok. Jednak ani przez chwilę nie miał wątpliwości. Poznałby ją bez względu na sytuację, zawsze i wszędzie. Poznałby ją w każdym miejscu na świecie i o każdej porze jej życia.

Wiatr zawiął i Borys zobaczył, jak Gérard obejmuje ją ramieniem. Nie mogli go nie widzieć. Mimo to nie dała nawet znaku. Stali w odległości raptem pięćdziesięciu jardów. Patrzyli prosto na niego. A jednak nie dała nawet znaku.

Może krzyknęłaby, gdyby wszedł w płomienie? Z butelką w dłoni, wyprostowany jak żołnierz przed dekoracją, ruszył w stronę ognia. Wiatr zawiął i zasłonił widok po raz kolejny.

Kiedy się przejaśniło, pary nie było już widać.

Wbrew wcześniejszym planom Borys nie zszedł tego wieczora do wioski. Został na górze. Ogień zmałał, a owce zamieniły się w popiół, lecz palenisko smagane wiatrem wciąż żarzyło się różnymi kolorami, jak twarz Borysa zabarwiona gniewem.

Kryjąc się przy skale, patrząc na ciągnący się na południe welon Drogi Mlecznej, próbował ustalić, co dalej. Poważne długi wyraźnie przypominały o prawdziwej ostatecznej, wskazywały, póki co mało uporczywie, na nieuniknioną wrogość tego świata. Po północy wiatr ucichł i przestał rozwiewać stęchłą padlinę. Smród wypełnił ciszę tak samo, jak zapach prochu po ostatnim wystrzale. We wrogim świecie, w wieku czterdziestu jeden lat znalazł schronienie. Blondynka miała w sobie coś z miejsca, w którym wrogość nie obowiązuje. Mógł to miejsce zabrać ze sobą – wystarczyło pomyśleć o niej, aby je przywołać. Dlaczego więc w dniu jego sromoty przyszła na górę i nie odezwała się ani słowem? Jak to możliwe, że zjawiła się tu, na skale tak odległej, że nie słychać już dzwonów kościoła, podeszła na odległość pięćdziesięciu jardów i nie dała mu najmniejszego znaku? Butem pogrzebał w węgielkach. Odpowiedź na to pytanie była prosta i znał ją bardzo dobrze. Odlał się do ognia. Mocz zamienił się w parę. To proste. Przyszła ze zwykłej ciekawości.

Zanim ją zobaczył, powtarzał sobie, że to raptem połowa stada. Kiedy nie dała mu znaku, chociaż widział ją wyraźnie, gniew zapłonął razem z płomieniem stosu: Borys i ogień, razem podpalą cały świat, od początku do końca – owce, cały inwentarz, domy, meble, lasy i miasta. Ze zwykłej ciekawości przyszła patrzeć na jego upokorzenie.

Przez całą noc pałał nienawiścią. Zaraz po wschodzie słońca, kiedy powietrze jest najchłodniejsze, nienawiść sięgnęła zenitu. Cztery dni później zadawał sobie pytanie: może przyszła na Skatę św. Antoniego z innego powodu?

Borys postanowił pozostać w górach. Gdyby wrócił do wioski, ludzie gapiliby się na niego, ciekawi, jak zniósł stratę. Pytaliby, czy był ubezpieczony, tylko po to, żeby usłyszeć, że nie. Sprawiałoby im to ogromną przyjemność. Zaczęłby rozrabiać – tłuc okna w budynku merostwa, kufle w Lirze Republikanów, a może nos Gérarda i w ogóle każdego faceta, który odważyłby się dotknąć ciała blondynki. Reszta owiec pałała się w okolicy Peniel, niedaleko chaty, w której da się przenocować. Do nadejścia zimy mógł tam zamieszkać i mieć oko na stado. Byłby od razu na miejscu, żeby sprowadzić je na zimę do wioski. Jeśli przyszła go zobaczyć z innego powodu, zrobi to jeszcze raz.

Minął tydzień. Nie miał zbyt wiele do roboty. Po południu leżał na trawie, gapił się w niebo, co jakiś czas rzucał rozkaz jednemu z psów, żeby zagonił owce z powrotem. Patrzył na doliny poniżej. Z każdym dniem wydawały się bardziej odległe. W nocy rozpałał w chacie ogień. Komina nie było, ale dym wylatywał przez otwór w suficie. Energii mu nie brakowało, ale stracił zapał i jakiekolwiek pragnienia. Na stoku naprzeciwko chaty mieszkała rodzina świstaków. Słyszał, jak świstak-stróż gwizda za każdym razem, gdy pies zbliży się do ich nory. O poranku przyglądał się ich przygotowaniom do zimowego snu. Świstaki podnosiły kępki trawy i przenosiły je, niczym bukiety kwiatów, do podziemnego korytarza. – Jak wdowy – powtarzał sobie – zupełnie jak wdowy.

Którejś nocy, gdy gwiazdy świeciły tak jasno jak wiosną, znów zaczął go zżerać gniew. – Myślę, że już po mnie, że jestem skończony – mamrotał do psów. – Ale się grubo mylą!

To dopiero początek, jeszcze im, kurwa, pokażę. – Spał z pięścią w ustach. Tej nocy miał sen.

Następnego popołudnia leżał na plecach, patrząc na niebo. Nagle przewrócił się na brzuch, żeby spojrzeć na ścieżkę, która prowadziła przez las aż do asfaltowej drogi. Słuch miał równie czuły co jego psy. Zobaczył, że idzie w jego stronę. Miała na sobie białą sukienkę i niebieskie sandały, a na szyi – sznur koralii przypominających perły.

– Jak się masz, Garbusku?

– Przyszłaś wreszcie!

– Zniknąłeś! Zniknąłeś zupełnie! – Wyciągnęła ramiona, żeby go objąć. Zniknąłeś, więc powiedziałam sobie: pójdę poszukać Garbuska. I oto jestem!

Zrobiła krok do tyłu, żeby dobrze się przyjrzeć. Miał brodę, potargane włosy i brudną skórę. Spojrzenie niebieskich oczu ogniskowało się gdzieś daleko.

– Jak się tu dostałaś? – spytał.

– Zostawiłam samochód przy chacie na dole.

– U starszej pani?

– Nikogo tam teraz nie ma, okna zabite dechami.

– Pewnie zeszli z krowami do wioski. Którego dzisiaj mamy?

– Trzydziestego września.

– Po co przyszłaś, kiedy paliłem owce?

– Słucham?

– Przyszłaś z mężem na Skatę św. Antoniego.

– Nie.

– Widziałem cię, kiedy paliłem owce.

– To musiał być ktoś inny.

– Nie pomyliłbym cię z kimś innym.

– Kiedy dowiedziałam się, co się stało, było mi ogromnie przykro.

– Moja babka mawiała, że sny wywracają prawdę do góry nogami. Wczoraj śniło mi się, że mieliśmy córkę, więc naprawdę to będzie syn.

– Garbusku, ja nie jestem w ciąży.

– Na pewno?

– Nie okłamywałabym cię.

– Po co przyszłaś wtedy na przeszpiegi? Skoro mówisz prawdę, mów dalej.

– Wcale nie chciałam.

– Czemu nie przyszłaś porozmawiać?

– Bałam się.

– Mnie?

– Nie, Garbusku. Bałam się tego, co robiłeś.

– Robiłem to, co było konieczne. Miałem przyjść do ciebie tamtego wieczora.

– Czekałam.

– Wcale nie. Zobaczyłaś to, co chciałaś.

– Ale teraz przyszedłam.

– Jeśli dziś zostanie poczęty, urodzi się na czerwiec.

Powiedziawszy to, chwycił ją za ramię i pociągnął do przygarbionej chaty o drewnianych ścianach szczerbiatych od stońca. Kopniakiem otworzył drzwi. Izba pomieściłaby cztery albo pięć kóz. Na ziemi leżały koce. Okienko, nie większe od tranzystorowego radia, było szare od brudu. Na przymocowanym do butli gazowej palniku postawił rondel z kawą.

– Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

Stał w półmroku, wyciągając ogromne otwarte dłonie. Za nim, na stosie starych ubrań, dostrzegła czapkę amerykańskiej armii i czerwoną koszulę, którą kiedyś prasowała. Coś zaszurło w kącie pokoju – kulawa owca pokuśtykała w stronę leżącego przy drzwiach psa. Borys zdjął rondel z ognia i przykrył płomień. Syczenie ustało. Zapadła cisza, jakiej w tej dolinie jeszcze nie było.

– Jeśli to będzie chłopiec, kupię mu konia i...

Nie zważając na wyciągniętą rękę z miseczką kawy, nie czekając na koniec zdania, rzuciła się do ucieczki. Podszedł do drzwi i spojrzał, jak pędzi co sił w dół zbocza, co chwilę się potykając. Oglądała się za siebie, jakby sprawdzając, czy nie ruszył w pościg. Stał w progu chaty zupełnie bez ruchu, a ona biegła dalej.

Wieczorem, z pewnym ociąganiem, spadł delikatny śnieg. Borys sprowadził psy do chaty, zarygłował drzwi, czego nigdy wcześniej nie czynił i położył się przy zwierzętach, z pięścią w ustach próbując zasnąć. Rano zebrał zmęczone, szare owce i wśród kałuż, zmarzniętych krzaków jeżyn i białych sosen poprowadził je w dół, a potem dalej – drogą do wioski.

Borys nie zdziwił się ani trochę, gdy Corneille, tutejszy handlarz bydłem, zatrzymał ciężarówkę na podwórzu, powolnym krokiem odpowiednim dla swojej postury ruszył przez śnieg w stronę domu i zapukał w kuchenne okno. Borys wiedział, co go tu sprowadza. Zaklął na szczekające psy, zagroził, że je osoli i uwędzi. Otworzył drzwi. Corneille, w kapeluszu przekrzywionym nieco na tył głowy, usiadł na krześle.

– Dawnośmy się nie widzieli – powiedział. – Nie byłeś nawet na zimowym targu. Jak interesy?

– Powoli – odparł Borys.

– Słyszałeś, że zamykają ubojnię w Saint-Denis? Trzeba będzie wozić do A –.

– Pierwsze słyszę.

– Dzisiaj same inspekcje, kontrole i urzędnicy. Zero miejsca dla ludzi z wprawą.

– Wprawą! Tak to się teraz nazywa?

– Tobie wprawy jakoś nigdy nie brakowało – odparł Corneille. – Czapki z głów przed taką wprawą!

Kapelusza nawet nie tknął. Postawił kotnierz płaszcza. W kuchni było zimno i pusto, jakby dom zrzucił liście tak samo jak pobliskie brzozy. Liście małej pociechy.

– Dzisiaj – ciągnął Corneille – nikt mnie już nowych sztuczek nie nauczy. Znam wszystkie jak własną kieszeń, ale ty nie jesteś gorszy. Prawda, miałeś pecha,

nie tylko w górach miesiąc temu. – Borys, biedaczysko, mówiliśmy wtedy, jak on się z tego wygrzebie? Miałeś za dużo pecha i za mało gotówki.

Z prawej kieszeni płaszcza wyjął zwitek banknotów pięćdziesięciotysięcznych i położył go na krawędzi stołu. Jeden z psów powęchał jego dłoń. – Spieprzaj! – Corneille odepchnął go ruchem ogromnego uda, które pod płaszczem wyglądało jak mocna ściana.

– Mówię ci, Borys, ty byś zadnie nogi kozła sprzedał ogierowi. To komplement!

– Czego chcesz?

– Nie nalejesz? Nie masz tu za ciepło.

– Gnôle czy czerwone wino?

– Odrobinę gnôle. Wujcio się po nim tak nie zatacza.

– Tak mówią.

– Słyszałem, że zamiotłeś ją razem z mężusiem pod dywan!

Borys nie odpowiedział. Nalał z butelki.

– Nie każdy by tak potrafił. Trzeba niezłego wuja na coś takiego.

– Tak sądzisz? Po co te pieniądze?

– Interes. Uczciwy interes, Borys. Chociaż raz. Wiem, że ciebie nie da się okantować.

– Corneille, znam twoją matematykę. Jeden, dwa, trzy, sześć, dziewięć, dwadzieścia.

Obaj zaśmiali się. Chłód jak chmura mgły bił od kamiennej podłogi. Opróżnili szklaneczki „na raz”.

– Zima będzie długa – powiedział Corneille. Śnieg poleży. Z pięć miesięcy jak nic. Wujek Corneille wie, co mówi, bo niejedną zimę przeżył.

Borys ponownie napełnił szklaneczki.

– Do Wielkiego Postu balot siana będzie po jakieś trzy stowy. Jak tam twoje siano w tym roku?

– Całe i zdrowe.

– Nie pytam o cycki twojej kobiety, Borys, tylko o siano.

– Całe i zdrowe – powtórzył.

– Konie wciąż na dworze, jak widzę – ciągnął Corneille.

– Masz sokoli wzrok.

– Starzeję się. Wujcio już nie harcuje jak kiedyś. Podobno jest bardzo piękna i na dodatek z klasą.

– Po coś przyszedł?

– Kupować.

– Wiesz, co mówią drzewa, jak wchodzi się do lasu z siekierą?

Corneille potrząsnął szklanką, lecz nie odpowiedział.

– Jak wchodzi się do lasu z siekierą, drzewa mówią prosto: – Patrzenie, trzonek to nasz kompan!

– Dobrze wiem, że nie dasz się puścić kantem – odparł Corneille.

– Skąd wiesz, że chcę sprzedać?

– Każdy na twoim miejscu by to zrobił. Wszystko zależy od propozycji, a ja mam zamiar zaproponować sumę, która zbije cię z tropu.

– No to zbijaj!

– Trzy miliony.

– A co za to chcesz? Siano?

– Całe i zdrowe! – rzekł Corneille, zdejmując kapelusze i zakładając go z powrotem na tył głowy. – Nie. Chcę wszystko, co chodzi na czterech nogach.

– Powiedziałeś dziesięć milionów?

Borys gapił się obojętnie na śnieg za oknem.

– Nie obchodzi mnie, w jakim są stanie. Kupuję w ciemno. Cztery miliony.

– Nie jestem zainteresowany.

– Niech tak będzie. – Opierając łokcie na stole, Corneille pochylił się i wstał jak krowa, która zwleka się z podłogi w oborze – najpierw zad, potem przednie nogi. Wyprostował się nareszcie i położył dłoń na pliku banknotów tak, jakby uciszał krzyk.

– Słyszałem, że masz kłopoty – powiedział delikatnym głosem osoby, która przemawia do chorego. – Mam do ciebie słabość, więc pomyślałem sobie, że najwyższy czas pomóc przyjacielowi w potrzebie. Pięć milionów.

– Za tyle możesz wziąć co najwyżej konie.

Dłoń Corneille’a dławiła plik banknotów.

– Jeśli się zgodzisz i pozbędziesz zwierząt na zimę, możesz sprzedąć siano, naprawić dach stodoły i wiosną starczy ci na większe stado. Pięć milionów.

– Bierz wszystko – powiedział Borys. – Masz rację, idzie długa zima. Bierz wszystko i zostaw pieniądze na stole. Sześć milionów.

– Nawet nie wiem, ile kupuję – wymamrotał Corneille.

– Na tym świecie nigdy się tego nie wie. Może gdzieś indziej każdy interes jest zupełnie uczciwy. Ja wiem tylko tyle, że u nas żyją wyłącznie tacy, których Bóg wyrzucił za grube wady.

– Pięć i pół – odparł Corneille.

– Sześć.

Podniósł dłoń z pliku banknotów i podał ją Borysowi.

– No to sześć. Przelicz.

Borys przeliczył.

– Wujek da ci radę – Corneille odezwał się powoli i spokojnie. – Idź po rozum do głowy i nie wydaj wszystkiego na nią.

– Zobaczymy, co się da zrobić, Corneille. Sam jestem ciekaw.

Borys i blondynka zaczęli do siebie pisać. Na całą korespondencję składały się raptem dwa listy. Pierwszy, ze stemplem z 30 października, był od niego:

Ukochana,

mam pieniądze na bilety do Kanady. Czekam na Ciebie,

Zawsze Twój, Borys

Drugi, z 1 listopada, był od niej:

Najdroższy Garbusku,

W innym życiu może by się udało. W tym – musisz wybaczyć

Marie Jeanne

Nie było już owiec, które trzeba by karmić. Konie wyprowadziły się z zaśnieżonego sadu. Kiedy przyjechała ciężarówka, na śniegu leżało pół balotu siana. Borys wrzucił je na ciężarówkę obok koni. Marc miał w pewien sposób rację, mówiąc, że Borys umarł tak samo jak jego zwierzęta. Nie musząc ich karmić, sam również przestał jeść.

W zamrożonym korycie na podwórzu ukrył butelkę szampana. Czekala na podanie. Woda oderwała etykietę, która po tygodniu wypłynęła na powierzchnię. Kiedy policja otworzyła szafki w kuchni, znalazła wielki przewiązany kokardą stół wiśni w nalewce oraz duże pudełko czekoladek After Eight – otwarte, ale nienaruszone. Co więcej, na podłodze pod oknem, na którym nigdy nie było firan, znaleziono poślizgane kartonowe pudełko od cukiernika, a w nim lukrowane migdały – identyczne jak te, które ofiarowuje się gościom na chrzcinach. Na podłodze leżały koce, mokre gazety i pełno psiego gówna. Psy nawet nie tknęły słodzonych orzechów.

W niekończącym się oczekiwaniu Borys nie słuchał już dźwięków dochodzących z zewnątrz. Ucho miał dobre – nie gorsze niż ja teraz, gdy pisząc, rejestruję chrobot pióra – dźwięk podobny do chrupania myszy, która nocami wyjada okruchy spomiędzy pazurków. Słuch miał bez zarzutu, lecz do szczętu zobojętniał. Pianie koguta sąsiadów, dźwięk silnika samochodu wspinającego się drogą, z której można było zajrzeć Borysowi do komina, krzyki dzieci, warkot pił tańcuchowych przy wycince lasu po drugiej stronie rzeki, klakson listonosza – dźwięki straciły dlań imię, nie miały nowin do przekazania, opustoszały zupełnie, bardziej niż sama cisza.

Jeśli wciąż czekał, nie tracąc z oczu choćby na chwilę, we śnie ani na jawie, celu swego czekania – tych piersi, w które wtuliłby twarz – nie wiedział już, skąd miałyby nadejść. Nie było już ścieżek do przeszukania. Serce biło ciągle w tym samym miejscu; trzymając bochen zawsze w lewej dłoni, prawą nadal kruszył chleb dla psów, popołudniowe słońce zachodziło wciąż za tą samą górą – lecz kierunki się pomieszały. Psy znały jego zagubienie.

Dlatego spał na podłodze, nie zmieniał ubrań, nie mówił już do psów, tylko popychał je pięścią lub przyciągał do siebie.

Kiedy wszedł na drabinę w stodołę, przypomniał sobie, że nie wziął sznura. Patrząc w dół na skład słomy, zobaczył żrebiącą się klacz. Jak na tak długą głodówkę halucynacje miewał rzadko. Zdejmując buty przed wejściem w śnieg, dobrze wiedział, co robi.

Pewnego słonecznego dnia pod koniec grudnia pomaszerował boso przez zaśnieżony sad w kierunku strumienia, który wyznacza koniec wioski. Właśnie tam zobaczył drzewa, na których nie było ani odrobiny śniegu.

Drzewa te tworzą zagajnik, który – gdyby nie noc – mógłbym teraz zobaczyć z okna. Zagajnik jest lekko trójkątny. Na wierzchołku rośnie lipa. Jest również ogromny dąb, a także jesiony, buki i jawory. Jawor rośnie na lewo od miejsca, w którym stał Borys. Chociaż słońce, jak na grudniowe popołudnie, świeciło przepięknie, zagajnik wydawał się mroczny i nieprzenikniony. Borys pomyślał, że brak śniegu na drzewach to rzecz niezwykła, obiecująca.

Stał, przyglądając się drzewom tak, jak kiedyś patrzył na owce. Tutaj znajdzie to, na co czekał. Odkrycie tego miejsca znaczyło wyraźnie, że cierpliwość będzie nagrodzona. Ruszył powoli do domu, zagajnik mając dalej przed oczami. Zapadła noc, ale on nadal wpatrywał się w drzewa. Zbliżał się do nich we śnie.

Następnego dnia, idąc przez sad, udał się z powrotem w stronę strumienia. Z rękoma założonymi na piersi przyglądał się zagajnikowi. Dojrzał wąski prześwit – jaśniejszy fragment na ciemnym tle drzew. Tutaj pojawi się ona.

Straciła już imię – jak butelka szampana, którą trzymał na jej przybycie. Imię zniknęło, ale cała reszta przetrwała pod czujnym okiem namiętności.

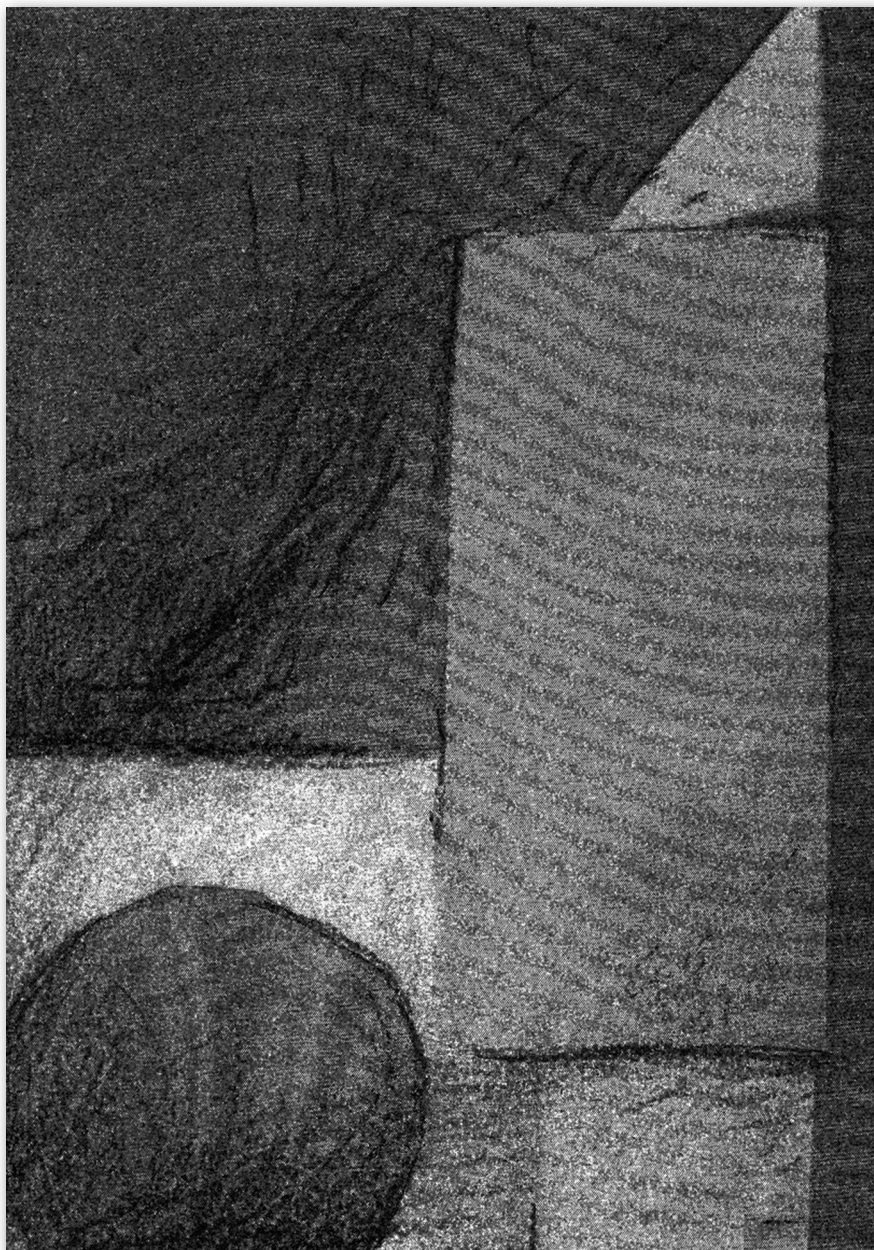
Pod koniec roku prześwit w zagajniku zaczął robić się coraz większy. Wokół każdego drzewa przybywało światła i przestrzeni. Im bardziej cierpiał na cieple, tym mocniej był przekonany, że moment jej przybycia zbliża się wielkimi krokami. Drugiego stycznia wieczorem wszedł do zagajnika.

W nocy z drugiego na trzeciego dało się słyszeć ujadanie trzech psów Borysa. Rano sąsiedzi spróbowali się dostać do domu przez kuchenne drzwi. Były zaryglowane od środka. Przez okno zobaczyli Borysa leżącego na podłodze. Głowę miał odrzuconą do tyłu, usta otwarte. Nikt nie odważył się wchodzić przez okno w obawie przed psami, z wściekłością opłakującymi życie, które dobiegło końca.

A więc opowiedziałem historię. Wiatr nawiewa śnieżny pył na coraz głębsze zaspę. Wszystko okrywa śnieg, nawet powietrze się zabieliło. Jeśli chcielibyście wyjść z ustronia wsi na bardziej odległe pola, wiatr w okamgnieniu okryłby wasze policzki warstwą lodu. Ból przeniknąłby ciało, przewiercił się do wnętrza czaszki i wstrząsnął nią jak niespodziewany, potężny cios.

Każdy, kto wierzy, że zło nie istnieje, a świat jest z natury dobry, powinien wybrać się dziś na spacer na pola.

Grać w karty w noc taką jak ta to jak wystawić łóżko na środek pokoju. Tłoczmy się we czworo przy partii belote. Nie ma prądu. Dwa ogarki oświetlają dłonie, w których trzymamy wachlarze kart. Właścicielka kawiarni zakłada okulary. Co chwilę wyciąga z kieszeni małą latarkę, żeby sprawdzić, czy kier, czy karo.



Rita Lazaro, *Znak_(1)*